Sternik

tygodnik dla młodych

ROK II Nr. 18 WARSZAWA, 23 LISTOPADA 1930 R. CENA 30 GROSZY

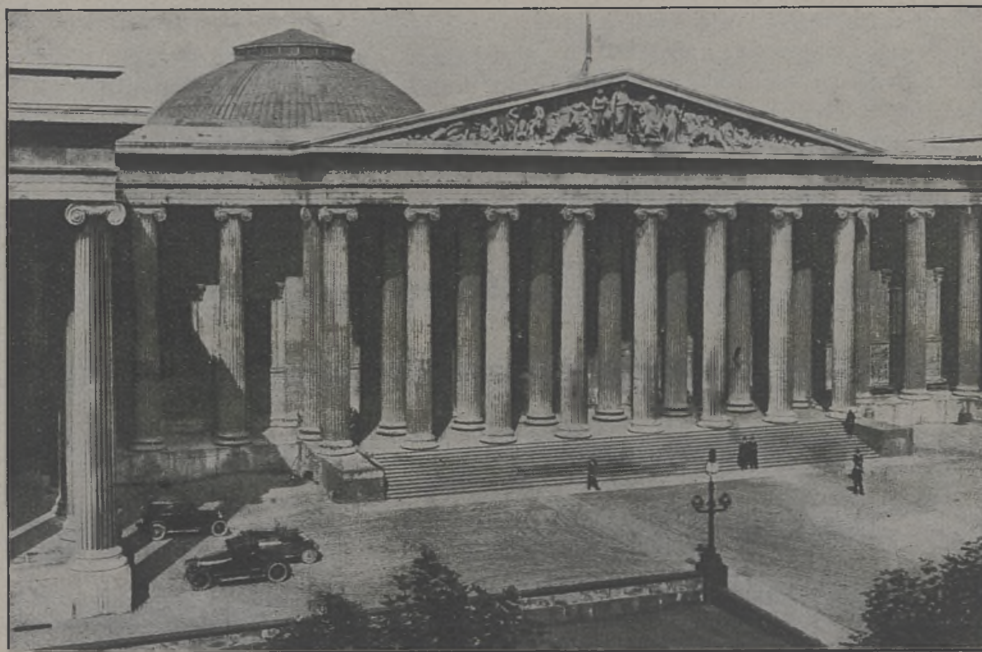

BRITISCH MUZEUM
(do art. p. t. Na marginesie wrażeń z Anglji).

DROGA CZYNU

W ostatniem dziesięcioleciu pług historji głęboko przeorał dusze polskie, zmieniła się cała struktura myślowa, cały nasz pogląd na świat. Ludzie, promienni szczęściem wolności, inaczej spojrzeli przed siebie w przyszłość świata pracy i przeszłość ponurą koszmarem niewoli. Jakże odległą im się stała Polska Anhellich, — a pełną ciekawych wskazań państwowych — bliską w stawianiu problemów, których rozwiązanie zmierzało ku zapewnieniu przodującego stanowiska wśród państw sąsiednich — potężna Rzeczpospolita Jagiellonów.

Stosunek młodego pokolenia do wielkiej poezji emigracyjnej, która dla starszych była świętością — Ewangelją, jest częstokroć więcej niż obojętny. Trudno, — tak być musi, — ludzie wychowani w wolnem państwie, nie mogą już odczuwać przeżyć, urodzonych w niewoli, okutych w powiciu".

A jednak „arka przymierza" między dawnemi i przyszłemi laty" musi trwać — bowiem idea Polski nie za nas się zaczęła i nie za nas skończy — budowały ją wieki, na zrębach przez Piasta Kołodzieja skrzesanych, i swe zadanie w rodzinie wielkiej ludów w dalekiej przyszłości jeszcze wypełniać będzie.

Były czasy, gdy Rzeczypospolitej nie zbywało na ludziach czynu — i takie, gdy na straconej placówce Żółkiewskiego garść tylko trwała, po dniach gdy rozpanoszał się egoizm, bezgraniczne poświęcenie zmazywało winy przodków.

Dziś już prawie nikt z młodych nie umie wiersza „Do matki - Polki", czy „Pogrzebu kapitana M.", a jednak ze spojrzenia wstecz, na ubiegłe stulecie, musi wyrość zrozumienie ścisłego związku naszej ostatniej historji z tem, co się 100 lat temu zaczęło. Bowiem tylko przez poznanie dziejów i myśli pielgrzymstwa polskiego można dojść do tak brzemiennego w skutki postanowienia: „Nie chciałem, aby gdy miecze rzucono na szale zabrakło polskiej szabli" (Marsz. Piłsudski).

Pamięć powstania 1931 roku była zarzewiem późniejszych walk o Niepodległość, a i dziś nad czynem wojennym zastanawiają się fachowcy, w ośrodkach polskiej myśli wojskowej trwają badania i studja nad bitwami 1831 r. — generalisimus Foch z klęski 1871 wysnuwał swe wnioski, na tych pełnych błędów taktycznych działaniach wojennych kształcił w wojskowej akademji swych uczniów — przyszłych współtwórców zwycięstwa.

Żołnierza interesują sprawy taktyki — ogół obywateli szlaki jakiemi szedł naród, by znów za broń pochwycić. Nikt nie poddał powstania bardziej ostrej krytyce, jak emigracja, która mając ciągle przed oczyma powrót do Polski z bronią w ręku, chciała się do tego przygotować — i uniknąć błędów. Przeszła ona ciężką i mozolną drogę myślową, kształtując swój pogląd społeczny i polityczny — nie od ręki został napisany Manifest T-wa Demokratycznego i miesiące całe ciągnęła się nad nim długa, płomienna dyskusja. Zżółkłe kartki „Demokraty polskiego" są pomnikiem tych przeżyć i podziwiać trzeba niezłomny hart ludzi, którzy przeżywszy upadek powstania, klęski poczynań emisarjuszów, rozczarowania Wiosny Ludów, jeszcze w r. 1851 byli zdolni trwać w „emigracyjnem posłannictwie" i stwierdzać że: „Nie wolno emigracji polskiej zakładać domowych ognisk i że tak rzekniem aklimatyzować się w cudzyźnie. Wygnańcyśmy nie koloniści, nie kupcy. Pracować nam więc, lecz nie osiadać; zarabiać na chleb powszedni, lecz nie gonić za wygodą, za dobrobytem, za majątkiem — w cudzyźnie dla nas gościna lub koczowisko, domowe zaś obejście, spoczynek, przyszłość osobista, czy rodzima nigdzie okrom na polskiej ziemicy wyzwolonej i w całości odzyskanej". (Dem. Polski Nr. 17 1851 r.).

Pisze się często o sporach na emigracji, lecz odrzuciwszy plewy porachunków osobistych, plotek i niestety do dziś dnia przetrwałego zapamiętania się w nienawiści, dojrzeć musimy treść istotną — dążenie do wolnej Polski.

Dwa powstały zasadnicze na emigracji obozy: t. zw. Hotel Lambert, zdemoralizowany przez utworzenie Polski kongresowej w r. 1815 na drodze dyplomatycznej — na interwencji rządów budował swe nadzieje. Jego przedstawiciele nie szczędzili trudów, samozaparcia — po cierniowej zaiste drodze kroczył czcigodny książe Adam Czartoryjski, którego tylko najszaleńsi śmieli obrzucać błotem; lecz „król de facto", nie rozumiał swego narodu i najgorszą mu oddał przysługę nie szanując jego godności i nie wierząc w jego siły. Czartoryjski sam marzył jeszcze o wojnie polskiej, kazał sporządzać mapy wojenne i zbierać dla przyszłego sztabu polskiego potrzebne wiadomości, na pierwszą wieść o powstaniu w kraju porzucił Paryż i gotów był podporządkować się tworzonemu rządowi, zrozumiał, bodajże sam jeden ze swego obozu ideę legionu Mickiewicza. Jego następcy przestali wierzyć wogóle w możność polskiego powstania i w swych poczynaniach raczej doraźne ulgi w znoszeniu niewoli mieli na względzie. Towarzystwo Demokratyczne było obozem drugim, obozem walki — miało ambicje oddziaływania Polski na losy świata: „Polska do wiary w siły, w lepszą przyszłość dołączyć musi jasną wiedzę celu ludzkości, celu posłannictwa swego, musi troisty symbol Braterstwo, Równość, Wolność w życie wprowadzić" (Dem. Pol. z przemów Boleskiego 29 listopada 1841 r.), a równocześnie wpajało przekonanie liczenia tylko na swoje siły: „Europa republikancka nic nam nie dłużną i w niczem nam nie pomoże, jeżeli sami dla siebie nie wypracujemy ojczyzny ceną krwi naszej". (Dem. Pol. Nr. 11/1851 r.).

Nie mogło być między dyplomatami, a żołnierzami porozumienia. Jedni i drudzy silnie zaważyli na losach dalszych Polski — na wychowaniu się młodych pokoleń i kształtowaniu się różnic ideowych — bo inaczej kształtuje się dusza i charakter tego, który sobie żadnych nie stawia wymagań i nie

czuje się wobec społeczeństwa dłużnym, a inaczej zaprawia się ten, co walkę ma przed oczami.

Tylko ludzie świadomi swego celu są zdolni do twórczego czynu; tylko ludzie silni mają ambicję być rzeźbiarzami swego życia. Siew emigracji — by sobie samym zawdzięczać Polskę nie pozostał bezpłodnym — przez lat dziesiątki wbrew radom i ostrzeżeniom ludzi „rozsądnych", „szaleńcy" służyli idei czynu — nie żałowali swej krwi — aż wreszcie odnieśli zwycięstwo i dumnie stwierdzić mogą, że tylko dzięki nim Polska powstała.

Nie traktaty, lecz rzucona na szale wypadków dziejowych żołnierska szabla sprawiła — że oto żyjemy wolni.

Zmieniła się forma — lecz treść idei czynu pozostała ta sama, bowiem wiek jeszcze potrzeba wysiłków — kto wie a może nawet cięższych od wojennych trudów, opromienionych błyskami zwycięstw, aby Polska stanęła na czele narodów świata. Dziadowie i pradziadowie pokazali nam jak niezmiennie, wytrwale stać na posterunku należy. Teraz my z kolei wypełniać będziemy nasz obowiązek ludzi silnych, świadomych swej pracy dla nowego Jutra.

Z. Kańska.

Na marginesie wrażeń z Anglji

Nic mnie bardziej nie złości, jak to, gdy słyszę ciągłe i bezkrytyczne chwalenie zagranicy, co niestety jest u nas rzeczą częstą. W tramwaju, na ulicy, w sklepie, w salonie wszędzie można słyszeć ludzi krytykujących „nasze porządki", a przeciwstawiających zagranicę, która w ich ustach jest jakimś wymarzonym rajem. W większości wypadków są to albo ludzie, którzy nie byli nigdy zagranicą, albo znają ją bardzo powierzchownie. To ustawiczne chwalenie wszystkiego, co obce, wypływa przedewszystkiem ze snobizmu i z niewiary we własne siły. Zrozumiałą była ta niewiara w pokoleniach dawnych, którym brak niepodległości wszczepiał poczucie niemocy. Dziś, wśród nas młodych jest na szczęście inaczej. Jesteśmy entuzjastami budującej się młodej Polski, a na wszelkie zachwyty nad zagranicą patrzymy krytycznie. I kto z nas młodych pojedzie zagranicę, ten z radością wynajduje tam wszelkie braki, wszystko to, co w porównaniu z Polską wypadnie na niekorzyść zagranicy. Brzydkie to uczucie, ale przyznaję, że mnie cieszą spóźniające się w wielu krajach koleje (np. Francja i Czechosłowacja), brudne dworce, na których niema gdzie umyć rąk (np. Antwerpja), i inne podobne dowody, że nie jesteśmy krajem papuasów, któryby we wszystkiem miał ustępować, starszemu cywilizacją, zachodowi.

Pomnik poległych w wojnie światowej

To też kiedy bezpośrednio po pierwszej swojej bytności w Anglji spisywałam swoje wrażenia, przyłapałam się na niskiem uczuciu radości wynajdywania wszelkich braków w tem państwie. Dziś jednak, gdy patrzę z pewnej perspektywy, myślę, że warto prze-

Most „Tower Bridge"

cież czasem podkreślić dodatnie strony innych krajów, bo z dobrego przykładu zawsze skorzystać należy, choćby ten przykład znalazło się u obcych. To też proszę nie posądzać mnie o bezkrytyczne chwalenie zagranicy, gdy opowiem dzisiaj o paru rzeczach, które mi się w Anglji podobają.

John Reynolds: Lady Hamilton jako bachantka

Miesiąc polskiego Pomorza nasunął mi oczywiście refleksje o morzu. Morze okalające ze wszystkich stron Wielką Brytanję, wdzierające się do ujścia jej rzek, które w ten sposób stały się dogodnemi portami, to morze ukształtowało psychikę Anglika. Można bowiem mieć zastrzeżenia co do form ekspansji angielskiej, można potępiać politykę angielską w krajach kolonizowanych, ale nie można nie podziwiać przedsiębiorczości Anglików, ogromnej żywotności i siły zdobywczej. Wschodnie lenistwo, bierność w stosunku do życia, tak często występujące u naszych rodaków, nie zdarzają się chyba w Anglji, gdzie każdy niemal ma w swej duszy cechy przodków: nieustraszonych żeglarzy, zdobywców nowych lądów, przedsiębiorczych kupców.

Nie sądzę, żeby warunki geograficzne miały być czynnikiem abolutnie decydującym o psychice mieszkańców danego kraju, to też nie przypuszczam, aby brak szerszego dostępu do morza miał nazawsze przekreślić te cechy w psychice Polaka. Mamy zresztą lądowe tereny ekspansji, nie w znaczeniu wojennem, a w znaczeniu kulturalnem. Wschód cały, aż do granic Indyj, to przecież teren dla naszej ekspansji handlowej; kultura nasza i cywilizacja mogą promieniować na szereg sąsiednich państw, które o wiele niżej od nas stoją.

Wróćmy jednak do Anglji. Drugą cechą, która mi niesłychanie zaimponowała w psychice Anglika jest tolerancja cudzych przekonań i poszanowanie przeciwnika. W kraju, gdzie różnice polityczne między zwolennikami każdej z trzech istniejących partyj są

Czerwona Parada

(Ciąg dalszy.)

Mijały dni, podobne do siebie, jak szare kwadraty wycięte z papieru.

Sypniewski czuł się źle, bardzo źle — lecz służby nie opuścił. Na przeglądzie garnizonu przez generała Chłopickiego, trzęsły go dreszcze przez całe dwie godziny. Drżące z zimna palce, zaciskał na karabinie, przerzucanym ciągle z ramienia do nogi. Szeregi łamały się prawidłowo, idąc szybkim, paradnym krokiem...

Przyszedł rozkaz wymarszu na linję bojową.

Na ulicę wywalił się zwarty tłum piechoty, brzęczącej rynsztunkiem. Łomotem twardych kroków, żegnali Warszawę.

Setki podkutych butów runęły na most, wiszący nad wodą o metalowym, niebieskawym połysku, która ocierała się z pluskiem o szare, zzieleniałe pontony.

Celem pułku była linja Bugu, od Modlina pod Wyszków.

Śnieg zacinał im w oczy i rozmokła droga tkwiła ciągle w przestrzeni. Konne patrole pozwijały przemoczone proporczyki u lanc. Przypominali zdaleka kozaków.

Po drodze sterczały potrzaskane, białe pnie brzozowe, z których granaty pozrywały czuby.

Poszli naprzełaj przez pola.

Na ziemi leżały srebrne ślady wczorajszego deszczu i postrzelane konie z ruskiej artylerji, zaplątane w bebechy, wyprute pociskiem. W porżuconym wozie tkwił ułamek lancy z białobłękitną chorągiewką, szarpiącą się z wiatrem. Jakieś baterje jechały na front i przeraźliwie skrzypiały ciężkie jaszcze, naładowane pociskami.

— Naprawo wskos!...

Młodzi szeregowcy opięci rzemieniami, złazili z pola, wlokąc z trudem obolałe nogi.

Przebrnęli drogę skopaną kopytami. Serca waliły przyśpieszonym rytmem, jak młoty. Dziwny, wymuszony uśmiech zawitał na ustach.

Jeden z grenadjerów wydobył skórzany woreczek z pieniędzmi. Odegrał się ostatnim razem. Odebrał swoje. Rekrut Willich ostrzegał, że go zastrzeli jak psa.

— Panie sierżancie! Osiem. Jak przegram wszystko, to mnie szlak trafi. Tak mi cyganka na Bednarskiej zeszłego miesiąca wróżyła.

— Zamknijcie gębę Mielczarek.

— Przeciem swoje tylko odebrał.

— Zamknijcie!...

— Strzelajom.

Słychać było strzały z pod Zakrzewa, gdzie dywizja Skrzyneckiego ucierała się z przednią strażą generała Rozena.

naprawdę istotne, w kraju, gdzie jest tyle sekt wyznaniowych, nikt nie obrzuca błotem swego przeciwnika, nikt z fanatycznym uporem nie będzie zmuszał innych do zmiany swych poglądów. Wprawdzie historja nasza daje nam wiele przykładów tolerancji, ba przecież nawet „liberum veto" można uważać za objaw krańcowo posuniętego poszanowania dla zdania jednostki, ale niestety widocznie przez reakcję w stosunku do dawnego liberalizmu, stajemy się dziś coraz bardziej nietolerancyjni. W szerzeniu swych poglądów, czy swej wiary przejawiają u nas ludzie tyle zacietrzewienia, tyle ślepego fanatyzmu, że trzeba na wzrost tych cech psychicznych patrzeć z największym niepokojem. I wyrabiając w sobie rycerskie poszanowanie przeciwnika (mamy tak wspaniałe tradycje w tym względzie) bierzmy przykład ze współczesnego Anglika, którego psychika stworzyła sport, rycerską walkę naszej epoki.

Trzecią rzeczą, która zwróciła moją uwagę w Anglji, było zachowanie tradycyj życia rodzinnego. Gdy się człowiek znajdzie w gwarnem śródmieściu Londyńskiem, ma się wrażenie jakiejś niesłychanej gorączki życia, gdzie niema miejsca na sentymenty — jest tylko business (czyt. byznes). Gdy jednak zapadnie wieczór, pustoszeją ulice city (śródmieście), gdyż tam nikt prawie nie mieszka, a zapala się ogień na kominkach setek tysięcy domów, rozsianych na krańcach miasta. Home angielski przetrzymał, jak dotąd, wszelkie wpływy epoki, niszczącej w wielu krajach życie rodzinne, dając dzieciom ten wielki skarb, jakim jest pogodna i serdeczna atmosfera domowa.

Anglik bowiem, choć my wyobrażamy go sobie, jako sztywne indywiduum „w kratkę", jest człowiekiem zawsze pogodnym, uśmiechniętym i w gruncie bardzo serdecznym. Jakżeż bardzo zaimponowała mi

Dante Gabriel Rossetti: Kobieta z płomieniem

Oderwane od armji Dybicza oddziały, natarły na grenadjerów. Żołnierze szybko wylewali gorącą zupę z menażek.

Leżeli w brudnozielonej ziemi i sypali strzałami w leżących opodal tyraljerów wroga.

Przez wiechy zrudziałej trawy, przeświecał złoty zachód. Nad ugorem gdzieś piskliwie ćwierkały ptaki. Wyrzuciło w powietrze szmat ziemi razem z jałowcami, które roztrzepały się wgórze. Granaty waliły w pole i w chałupy ozłocone słońcem, wyrzucając drzazgi pobielanych desek. Śmierdziało mdłym zapachem wędzonego mięsa i słomy.

Rosyjski atak koncentracyjny.

Muszą dojść do mostku, oczepionego karłowatą wierzbiną. Założyli bagnety i skrócili rzemienne pasy przy karabinach.

Willich patrzał w ziemię, przerzucaną wybuchami pocisków. Rośnie i garbi się. Dym kręci się w wyrwach...

— Chryste... i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom... Chryste... Ma zostać tutaj brutalnie zatłuczony przez granat.

Ogień zagradzający. Ludzie uciekają i krzyczą coś, czego on nie rozumie. Upadł pod nogi biegnących żołnierzy.

Sypniewski począł bryzgać go wodą, stojącą w kałuży. Chwycił go mocno za krzyżujące się na plecach rzemienie. Coś zadudniło za nimi w tyle. Stoczyli się do rowu napełnionego wodą.

Władek oderżnął mu naramienniki z cyfrą pułku, bo tego życzyło sobie dowództwo brygady. Schował nóż i polazł ku swoim.

Uciekali. Łomotały koła. Uciekali naprawo. Potem nalewo i znowu naprawo. Cofali się pod Grochów.

Żołnierze napełniali manierki wodą z rowów przydrożnych i grupami ginęli w ciemnościach.

Sypniewski usiadł na jakimś pniu. Szli i szli.

— Nie chlać deszczówki.

— Strzelajom.

— Mielczarek!

Żołnierz zatrzymał się i z przyzwyczajenia przyłożył dwa palce do czapki.

— Idziemy razem.

— Wi pan sierżant? — Na moście to była krew, jak rozdeptana jarębina. Tego rekruta zatłukło. Musimy poczekać.

Na trakt zjeżdżała artylerja. Konie zadarły ogony i z wysiłkiem zciągały z pola armaty. Słychać było głośny trzask batów, tnących grzbiety zwierząt i nierówny pisk kół. Pomiędzy oklejonemi błotem kołami, sterczały długie lufy okręcone workami.

(Dok. nastąpi).

Tadeusz Zambrzycki.

ta zewnętrzna pogoda i ten uśmiech, który przecie jest tak ważny we współżyciu ludzi. Pamiętam, jak kiedyś szofer, wiozący mnie przez ruchliwą ulicę Londynu, zawadził o drugą taksówkę. W niejednym kraju usłyszałabym zapewne stek wymysłów i zobaczyłabym wściekłe miny, tam w tym dziwnym kraju, szoferzy uśmiechnęli się do siebie nawzajem i ze słowami „Bardzo mi przykro" rozjechali się w dwie strony.

O dodatnich stronach, jak i ujemnych zresztą, Anglji i jej mieszkańców, możnaby mówić bardzo wiele. Brak miejsca zmusza mnie do poprzestania na tych fragmentach. Może załączone ilustracje zachęcą was do nauczenia się języka, który umożliwi wam w przyszłości oglądanie na własne oczy kraju, w którym nowy porządek żyje w zgodzie z odwiecznemi tradycjami. *W. Prażmowska.*

Czy Tomek przyjdzie?

Przyszedł kiedyś do mnie mój młody kuzyn Tomek, uczeń 7-ej, czy już wtedy 8-ej klasy.

— Daj mi coś do czytania.

— Bardzo proszę. Chodź do szafy. Wybierzesz.

Poszliśmy razem. Na środkowej półce rzucał się przedewszystkiem w oczy cały Żeromski. Tomek spojrzał, lekko się skrzywił i szukał dalej. Na Reymonta ledwo rzucił okiem, poezji wcale nie widział.

— Czytałeś to wszystko? — spytałam nietaktownie i niedyskretnie.

— Nnie... Nie wszystko.... Tomek był wyraźnie zakłopotany. Wreszcie rozgadał się trochę.

— Bo widzisz... Naprzykład taki Żeromski... Ja wiem. Wielki pisarz. Ale piła.

— Kto?! Żeromski piła?! Ty chyba nie wiesz, co mówisz, Tomek!

— Ee... bo ty tak zaraz napadasz! Widzisz.... to trzeba zrozumieć. To nie tylka ja. U nas w klasie prawie wszyscy. Zaraz ci wytłumaczę. Czy wiesz, co to obowiązująca lektura?

— No wiem. W ten sposób przechodzi się teraz literaturę współczesną.

— Tak. Więc teraz pomyśl. Roboty mamy w szkole dużo, bardzo dużo. Kiedy zepchniemy z głowy lekcje, zostaje jeszcze ta nieszczęsna lektura. Człowiek chciałby się przejść, pójść do teatru, w zimie poślizgać się, na wiosnę pograć w tenisa, wreszcie nawet poczytać, ale bez przymusu, na co się ma ochotę, chociażby Wallace'a. A tu nie! Musisz siedzieć w domu i czytać to co jest objęte programem szkolnym. Czy wtedy największy genjusz, najciekawsza książka nie staną się nudną piłą? Kiedyś dawniej bardzo lubiłem Prusa. Dziś... taka sama piła. Ledwo wymęczyłem „Faraona".

Staliśmy ciągle przed szafą. Tomek niechętnem okiem przerzucał książki.

— Ty jesteś szczęśliwsza. Za twoich czasów mogłaś się zachwycać Żeromskim, Reymontem, Sienkiewiczem, Prusem, bo nikt ci tych zachwytów nie narzucał. Czytałaś, co chciałaś.

— Widzisz, Tomku. Może i masz trochę racji. Ale ta twoja racja nie jest racją głęboką. Jest pozorna. A biorąc na rozum wcale racją nie jest. Dawniej lubiłeś Prusa, teraz go nie lubisz. Co się tu zmieniło. Prus? Nie. Książka się nie zmieniła. Mogła się stać mniej aktualną ze względu na to, że wszystko się dokoła zmienia. Ale dla osób nie uprzedzonych, tak jak ty, Prus, czy Sienkiewicz, nie mówiąc już o Żeromskim, zawsze są i będą i wielcy i bardzo zajmujący. Wartość więc książek nie zmieniła się. Zmienił się tylko twój stosunek do nich. I to nie z jakichś głębszych pobudek, nie dlatego, że coś się w tobie, w twoim charakterze w upodobaniach zasadniczo zmieniło, a dla względów czysto zewnętrznych, prawie mechanicznych. Jest w tobie jakiś duch przekory: „Zmuszają mnie do tego, więc muszę się bronić".

— No tak.... Ale rozumiesz! Nie lubimy przymusu. Tomek bronił się już miękko. Nie atakował. Teraz ja atakowałam.

— Kiedy czytałeś „Andrzeja Radka"?

— „Syzyfowe Prace"? O, dawno! Miałem wtedy trzynaście lat.

— Ja też miałam wtedy trzynaście lat. Pierwsza książka Żeromskiego, jaką czytałam. Podobała ci się?

— Bardzo. To było takie prawdziwe, takie z życia. Właśnie taka musiała być szkoła rosyjska naszego ojca, stryjów i wujów.

— Tak. Ja byłam też w szkole rosyjskiej. Cztery lata. Wtedy nie było jeszcze szkół polskich na Kresach. To też nie wiem, czy kiedykolwiek jaka książka zrobiła na mnie tak silne wrażenie, jak właśnie ta. O! Wtedy Żeromski nie był piłą! Czytało się go z zapartym oddechem, ze łzami, z wypiekami na twarzy.

Tomek kiwał głową ze zrozumieniem. — Tak, ale teraz się zmieniło. Trudno. Nie możemy się przejmować tem, co nas tak poruszało za czasów niewoli.

— No oczywiście! — zgodziłam się: — Ale artystyczna i duchowa wartość tych książek nie uległa zmianie dlatego, że mamy niepodległość.

— Ja to doskonale rozumiem. Ale odbiegliśmy od tematu. Mnie chodziło tylko o to, że książka objęta lekturą obowiązującą, stawała się „piłą" przez to tylko, że musieliśmy ją przeczytać. I jaka na to rada?

— Widzisz, Tomek! Z uporem trudno walczyć. A wy jesteście uparci. Powiedzieliście sobie, że lektura obowiązująca jest piłą i nie bardzo chcecie dać się przekonać. W rezultacie żal mi was, bo sami dobrowolnie pozbawiacie się najmilszych i najpiękniejszych wrażeń, jakie daje rozsmakowanie się w tamtych książkach. Przerzucacie je, spychacie tak, jak się spycha z głowy lekcje z nielubianego przedmiotu i nie staracie się, aby się stały dla was przyjemnością i rozrywką.

— Więc co robić, żeby było inaczej? — Tomek miał bezradną, nieszczęśliwą minę.

— Ja ci nic nie poradzę. Sam się musisz przekonać, przeczytać coś uważnie, bez uprzedzenia. Sprobuj! A najlepiej — zapomnij poprostu, że te właśnie książki musisz czytać. Niech ci się zdaje, że chcesz je czytać.

— Sprobuję! Ale na początek — to może wezmę Londona. Dobrze? Nie jesteś bardzo oburzona?

— Skądże! Bardzo lubię Londona. Bierz, co chcesz.

— A jak to skończę, przyjdę po „Ludzi bezdomnych" Żeromskiego. Napewno.

Ciekawa jestem, czy Tomek przyjdzie? *M. St.*

WĘDRÓWKA PO KINACH

Tegoroczny sezon kinowy, który zaczyna się wraz z sezonem sportów zimowych oraz mrozu — złośliwi mówią, że dlatego wtedy tak dużo ludzi chodzi do kina, ponieważ jest zbyt zimno, aby chodzić na spacery i wycieczki — mniejsza zresztą o to, tegoroczny więc sezon kinowy rozpoczął się pod znakiem dźwiękowców.

Obiecano nam, że ujrzymy rewelacje, arcyfilmy i t. d.— zresztą jak zwykle, czy jednak sprawdzają się tą przepowiednie.

Przedewszystkiem więc zanotować należy triumf operetki w kinie. Nie jest to objaw zadowalający, lecz trudno skoro film może śpiewać i tupać — to śpiewa i tańczy do upadłego. Tak mniej więcej wyglądają niezrównane filmy Maurice'a Chevalier, i gdyby nie fenomenalny wprost talent tego artysty nie sposób byłoby wytrzymać do końca seansu. Niestety, dążenie do zamienienia dramatu filmowego na operetkę jest coraz silniejsze. „Rio-Rita“ z Bebe Daniels, „Raj zakochanych“ z Vilmą Banky, „Moje słoneczko“ z Janet Gaynor i Charles Farrellem, a wreszcie i ostatni film niezrównanej śmieszki Colleen Moore to są wszystko operetki. Poświęca się w nich treść i prawdopodobieństwo dla wprowadzenia jakiejś mniej, lub więcej udatnej melodji.

Zasadniczym brakiem obecnego sezonu jest niewyświetlanie komedyj i obrazów mających za tło przyrodę egzotyczną. Był wprawdzie „Poganin“ z Ramonem Novarro i „Tam, gdzie wschód jest wschodem“ z Lonem Chaneyem, lecz oba te filmy stanowią zaledwie drobne wysepki w powodzi erotyczno-salonowo-dźwiękowych operetko-dramatów. Film z Chaneyem był zresztą lekkim odpoczynkiem, był to bowiem stary film niemy do którego dorobiono nudną synchronizację płyt gramofonowych i kilka stuknięć, z tem wszystkiem jednak wyróżnił się świetną grą i stosunkowo dużym tragizmem treści.

Na zakończenie trzeba jeszcze powiedzieć coś o filmach polskich, choć jest to rzeczą dość ciężką, bo nie wypada ganić, a nie ma za co chwalić. Zaraz na początku sezonu ukazują się niemal równocześnie cztery polskie filmy — wszystkie dźwiękowe.

„Niebezpieczny Romans“ z Betty Amman i Bogusławem Samborskim. Film jak przygniatająca większość naszych filmów przerobiony z powieści przez p. Anatola Sterna, a główną rolę grają w nim bandyci. Samborski również jak zwykle, a od poprzednich filmów różni się tylko tem, że zapuścił brodę. „Tajemnica lekarza“ z Junoszą Stępowskim rzecz zupełnie słaba— sceniczna, a nie kinowa — cała akcja toczy się we wnętrzu mieszkania, wobec czego zdjęcia ciągle na tem samem tle nużą.

„Janko muzykant“ z Malicką i Witoldem Conti — czy ja wiem, są tacy co to chwalą i wreszcie: „Na Sybir“ z Jadwigą Smosarską, Brodziszem i Bogusławem Samborskim — o tem boję się mówić, bo jest to film ściśle patrjotyczny, a takich podobno krytykować nie wypada — może też dlatego tak często pokrywa się wszystko inne w naszych filmach patrjotyzmem. Pozatem Smosarska i Samborski — jak zwykle.

Jedynym jeszcze ratunkiem są takie filmy, jak „Rozkosze niebezpieczeństwa“ z Haroldem Lloydem — naprawdę doskonała komedja, niestety jedyna w tym sezonie, oraz wznowienia starych niemych filmów w małych kinach np. Mała sala Colosseum: „Cyrk“ Charlie Chaplina, oraz „Zmokła kura“ z Fairbanksem.

M. O.

O wszystkiem potrosze

PRZESTĘPCZOŚĆ DZIECKA

Dr. Miriam Van Vaters, ekspertka przy Sądzie dziecinnym w Los Angeles i doradczyni komisji prezydenta Hoovera, w sprawie badania zbrodniczości i przestępczości dzieci, udzieliła dziennikarzom prasy amerykańskiej ciekawego wyjaśnienia, co powoduje przestępczość u dziecka.

Podług jej zdania, przytułki i instytucje poprawcze dla dzieci o „kryminalnych“ skłonnościach, są tylko „wylęgarnią zbrodni“. Zaprowadzenie probacji napewno okaże się lepszą metodą poprawczą, niż trzymanie dzieci w zakładach karnych. Kompetentni urzędnicy probacyjni lub takie instytucje, jak Y. M. C. A. lub Skauci, są najskuteczniejszym środkiem przeciw przestępczości dzieci — kończy swe oświadczenie ekspertka ich przestępczości.

NIEZNANY LOCH POD KATEDRĄ W WILNIE

W ostatnich dniach przeprowadzone zostały badania podziemi, znajdujących się pod katedrą w Wilnie. Specjalna komisja z konserwatorem wojewódzkim na czele, odkry.a nieznany loch, około 3-ch metrów głębokości, 20 metrów długości i przeszło 5 szerokości, połączony z jednej strony kanałem, obiegającym naokoło katedry, z drugiej zaś dwoma podziemnemi gankami, ciągnącemi się w stronę góry zamkowej.

Według opinji członków komisji, podziemne te korytarze wybudowane zostały w średniowieczu i łączyły niegdyś istniejący na terenie dzisiejszej Alei Cielętnika — zamek dolny z katedrą. Wobec tego, że w podziemiach katedry niema miejsc, komisja wystąpiła z projektem umieszczenia w nowoodkrytym lochu trumien ze zwłokami członków kapituły.

RECEPTY NAJSTARSZEGO CZŁOWIEKA ŚWIATA

Któż nie słyszał o tureckim Matuzalemie, który od pewnego czasu bawi w Ameryce, gdzie wciąż jest przedmiotem ogólnego zainteresowania i nie ma najmniejszej ochoty opuścić kraju, w którym mu się tak dobrze powodzi.

Amerykanie pragną za wszelką cenę zdobyć od starca tajemnicę jego długowieczności i wszystko, co Zaro Aga na ten temat powie, uważane jest za niewzruszoną pewność.

Przedewszystkiem ogromną wziętością cieszy się recepta codziennej djety. Brzmi ona: na śniadanie — jedno jajko na miękko, szklanka mleka i jedna pomarańczka. Na obiad — kartofle, szpinak, kalafjor, filiżanka kawy, wieczorem — kawałek kury i owoce.

Tysiące Amerykanów ściśle stosuje się dziś do tego przepisu.

CO POWODUJE TRZĘSIENIE ZIEMI?

Znakomity uczony wiedeński, doktór Max Toperczew twierdzi w „N. Fr. Presse“, że niepogodne lato tegoroczne w Europie, spowodowane zostało przesunięciem osi ziemskiej. Ziemia jako stałość — nie znajduje się w równowadze stałej. Nieustannie odbywają się wahania biegunów. Na podstawie ścisłych obliczeń stwierdzono, że wahania te, odbywają się w okresie sześcioletnim.

Każde, choćby nieznaczne przesunięcie osi ziemskiej, wywołuje ruchy wyrównawcze, co w pierwszej linji objawia się w ruchach powietrza i wody, następnie zaś w ruchach wnętrza ziemi. Zmiany te wywołują zaburzenia atmosferyczne, a także i trzęsienia ziemi.

Na podstawie ścisłych obliczeń wahań biegunów, już w roku zeszłym zdołano przepowiedzieć charakter tegorocznego lata.

(W. Śl.).

KRONIKA SPORTOWA

Największym ewenementem, w polskiem życiu sportowem, był w tygodniu ubiegłym wyścig o puhar Levego, rozgrywany między czołowemi pływakami Belgji i Francji.

Wygląda to paradoksalnie. A jednak zawody w Gandawie przyniosły nam sukces wspaniały, gdyż startujący tam nasz mistrz Kazimierz Bocheński, uzyskując na 100 m. nadzwyczajny czas 1 m. 00,4 sek. — wybił się na same czoło pływaków Europy i zagroził wyraźnie, iż stanie się za rok czy dwa — następcą Weissmüllera.

Dodać tu należy, iż podczas wyścigu Bocheński dwa razy zaplątał się w sznurach, i że na 2-ch stoperach było równe 60 sekund!

Obecnie, w całej Europie, godnemi dla naszego asa przeciwnikami mogą być chyba tylko Baranyi i Taris. Węgier jednak od dłuższego już czasu postępów nie robi, podczas gdy 20-letni Bocheński dopiero rozpoczyna swą sportową karjerę, a Francuz jest raczej specjalistą na 400 i 1500 m. W czystym sprincie mistrz Polski będzie więc niezadługo bezsprzecznym mistrzem Europy, a za dwa lata — jak twierdzą zgodnie fachowcy — z dużemi szansami sięgnie po laur olimpijski.

Warto zaznaczyć, że podczas biegu Bocheński ustanowił nowy rekord również i na 50 m. z 27,6 s. Nie zadowolił się tem i skacząc niebawem znów do wody, poprawił ten wynik na 27,4 s.

6 grudnia Bocheński zmierzy się z Tarisem. Przy tej okazji zejdzie prawdopodobnie poniżej minuty na 100 m. — co już jest wyczynem fenomenalnym.

Ciesząc się niezmiernie z sukcesów naszego pływackiego asa, czy nie powinniśmy jednak żałować nieco, że szampjon nasz nie u nas został wychowany sportowo, a w Belgji? Że nie możemy sami gwiazd wyprodukować? Że takich, jak Bocheński, czy Szamota, czy Petkiewicz, dostajemy „gotowych" z zagranicy?

Szczególnie, jeśli chodzi o pływanie, to małe zainteresowanie niem naszej młodzieży jest trudne do wytłomaczenia. Jestto sport najzdrowszy, jaki sobie przedstawić można, i przedstawiający minimum niebezpieczeństwa. Naodwrót, chroni od niebezpieczeństw wielu; starczy przeczytać w gazetach tak zawsze obfitą w lecie kronikę topielców! W pływaniu wyniki pierwszorzędne uzyskiwać można w bardzo wczesnym już wieku; niejedna światowa gwiazda liczy sobie 14 — 15 wiosen, i w Polsce też posiadamy zresztą „internacjonała" nie mającego jeszcze 16 lat! Jeśli się więc w tym pięknym sporcie chce osiągnąć dobre rezultaty — trzeba zaczynać wcześnie.

Absencja i obojętność były zrozumiałe, póki nie posiadaliśmy warunków. Trudno było wymagać, by młodzież narażała się na utonięcie w Wiśle. Ale teraz mamy w Warszawie piękną letnią pływalnie przy Łanzienkowskiej i mamy dwie pływalnie zimowe, w Domu Akademickim przy Grójeckiej i Kasy Chorych przy Wolskiej. Obie są niedostatecznie wyzyskiwane, choć zdawałoby się, że młodzież powinnaby tam tłumnie uczęszczać, iż powinnoby być za ciasno! *W. J.*

Kurs nauki obywatelskiej

Pod powyższą nazwą zaczął ukazywać się kurs dokształcający wydawany przez Powszechny Uniwersytet Korespondencyjny. Kurs ten, przeznaczony zasadniczo dla dowódców strażnic K. O. P., jest zredagowany w taki sposób, że pozwoli on nietylko rozszerzyć swe wiadomości czerpiącym zeń, lecz ułatwi im również dalszą pracę wykładowczo-wychowawczą (przedewszystkiem wśród żołnierzy).

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że starsze trochę pokolenie obywateli naszego państwa pozbawione było niemal zupełnie możności nauki — była to tendencyjna polityka zaborców — a dziś, ze względu na dojrzały już wiek nie może również korzystać z nauk w szkołach powszechnych, to dopiero wtedy ocenić będziemy mogli należycie ogromne znaczenie kursu.

Wszyscy pragnący pogłębić swą wiedzę — zwłaszcza wiedzę o kraju rodzinnym — otrzymać mogą zwięzły i przystępny zarys nauki o Polsce, jej bogactwach, stosunku do pozostałych państw, oraz o prawach i obowiązkach dobrego obywatela.

„Kurs nauki obywatelskiej" został podzielony na dziesięć zeszytów, z których pierwszy zawiera geografję, etnografję, oraz niektóre ważniejsze dane statystyczne dotyczące Polski. Zeszyty ukazywać się będą co miesiąc, aby pozwolić Uczniom dokładnie wykorzystać materjał zawarty w „Kursie".

Dział rozrywek umysłowych

2 ANKIETY „STERNIKA"

I.

Jakie odkrycie chciałbyś zrobić?

II.

Jaką powieść polską chciałbyś widzieć na ekranie?

Między odpowiedziami na ankiety rozlosowana zostanie nagroda w postaci książki.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ z Nr. 14

Zadanie III. Łuk triumfalny Tytusa Wespazjana, w Rzymie z I w. po Chrystusie.

Zadanie V. Urywki z „Popiołów" Żeromskiego.

HUMOR

Siedmioletnia Lili wzięła na ręce maleńką siostrzyczkę Basię, lecz po chwili postawiła ją znów na podłodze. Malutka w płacz. Lecz Lili jej tłomaczy:

— Nie można ciągle... ja też jestem zmęczona i nie noszę się!

—o—

— To Janek... Jego tatuś jest generałem.

Onieśmielona dziewczynka przygląda mu się z podziwem i biegnie do mamy, mówiąc:

— Mamusiu, jak to pięknie, prawda? W jego wieku być już synem generała!

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 33 m. 5, tel. 639-86. Konto P. K. O. 21355. Redaktorzy przyjmują interesantów w poniedziałki i czwartki od 6 do 7 popołudniu. Administracja czynna od 9 rano do 3 pp.

Cena prenumeraty: w Warszawie (z odniesieniem do domu) i na prowincji (z przesyłką pocztową) miesięcznie 1 złoty, — kwartalnie 3 złote, półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 złotych. Zagranicą o 25 groszy miesięcznie drożej.

Ceny Ogłoszeń: Jednorazowo, 1/1 kol. — 200 zł. 1/2 kolumny — 100 zł., 1/4 kol. — 60 zł. 1/8 kol. — 35 zł. 1/16 kol. — 20 zł. Przy ogłoszeniach wielokrotnych ceny niższe.

Redaktorzy: W. Prażmowska i Z. Zieleniewski. Sekretarz red. M. Ochorowicz. Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Z. Zieleniewski.

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy Świat 47, tel. 635-80, 635-83.